

ZBIGNIEW DROZDOWICZ*

Upolitycznianie wyższych uczelni

Podzielam opinię, że uczelnie wyższe zwykle nie najlepiej wychodziły i wychodzą na zbyt bliskich związkach z polityką i z politykami. Tak zwany diabeł tkwi jednak nawet nie tyle w szczegółach, co w tych praktykach, które skłaniają do postawienia pytania: ile polityki może, czy też musi, być w życiu wyższych uczelni, a także, jaka polityka wychodzi im na dobre, a jaka przynosi więcej szkody niż pożytku. Niestety, nie są możliwe jednoznaczne odpowiedzi na te pytania. Wiele tutaj bowiem zależy od konkretnych sytuacji oraz ich uwarunkowań. Możliwe jest jednak sformułowanie w tej kwestii przynajmniej pewnych generalizacji.

W pierwszej części tych rozważań odwołuję się do tych bliskich związków uczelni z polityką i politykami, które określam jako *casusy* – Henryka VIII, Hitlera i Stalina. Mogą one stanowić podstawę do sformułowania owych generalizacji. Nie twierdzę, że dzisiaj mamy, lub w nieodległej przyszłości możemy mieć, do czynienia ze swoistą powtórką z historii. Nie jestem jednak całkowicie przekonany, że tego rodzaju powtórki nam nie grożą – jeśli nawet nie w takiej formie, jakie występowały w przywoływanych tutaj *casusach*, to w przynajmniej w takim wydaniu, że trudno będzie się zorientować, czy to już jest, czy też jeszcze nie jest powrót do tego, co było. Rzecz jasna, między tymi *casusami* występowały istotne różnice. Łączyła je jednak w jakiejś mierze udana próba „zaprzęgnięcia” wyższych uczelni do „rydwanu” bieżącej polityki. A nie takie są przecież podstawowe zadania tych instytucji, które pojawiły się w życiu społecznym dużo wcześniej niż ci politycy i mimo różnego rodzaju trudności chciałyby realizować swoje misje ponad politycznymi interesami i podziałami.

Historyczne *casusy*

Posługuję się tutaj łacińskim terminem *casus*, bowiem w większym stopniu niż pojęcia *przypadek* czy *wypadek* zdaje się on kojarzyć z jakimś charakterystycznym zdarzeniem. W każdym razie nie chciałbym, aby przywołane tutaj przykłady bliskich związków polityki z funkcjonowaniem wyższych uczelni zostały potraktowane bądź to jako historyczne ciekawostki, bądź też jako takie „wypadki przy pracy”, którymi można dzi-

* Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz, Katedra Religioznawstwa i Badań Porównawczych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, e-mail: drozd@amu.edu.pl

siaj straszyć niczym tzw. żelaznym wilkiem. Rzecz jasna, żaden *casus* nie może stanowić dowodu w sprawie. Może on jednak być w niej jakimś przyczynkiem – jeśli nawet nie do rozstrzygnięcia jakiejś kwestii, to przynajmniej do głębszej refleksji nad nią. Tyle w kwestii terminologicznej. Jeszcze krótkie wyjaśnienie związane z personifikowaniem owych *casusów*. Traktuję to jako skrót myślowy, a nie wyraz przekonania, że cały problem z obecnością polityki i polityków w życiu wyższych uczelni da się sprowadzić do działań jednej lub kilku z osób.

Pierwszą z tych osób jest król Anglii Henryk VIII. W okresie jego panowania (przypadającego na lata 1509–1547) w kraju tym istniały tylko dwie wyższe uczelnie – Cambridge i Oksford – i obie, podobnie zresztą jak inne ówczesne europejskie uniwersytety, miały charakter wyznaniowy. Oznaczało to m.in., że kuratelę nad nimi sprawowali hierarchowie kościelni. Na początku panowania tego monarchy byli to – papież i angielscy biskupi katolicki, natomiast po przeprowadzeniu w latach 1534–1536 przez Henryka VIII i Parlament angielski „rozvodu” z Rzymem, przez króla i hierarchów Kościoła Anglii (ang. *Church of England*), nazywanego potocznie Kościołem anglikańskim¹. Istotną rolę odegrało w tym przypadku wspieranie przez monarchę potrzeb i aspiracji angielskich uniwersytetów. W rewanżu uniwersytecka profesura wsparła aspiracje Henryka VIII.

Odpowiedź na pytanie: jak to wyglądało w praktyce, znajduje się m.in. w *Historii społecznej Anglii* George’a Macaulaya Trevelyan. Autor tej monografii pisze, że już za panowania Henryka VII biskupi „byli przede wszystkim królewskimi nominatami i urzędnikami publicznymi”, natomiast na wyższych uczelniach silne były sympatie dla tych prądów umysłowych, które doprowadziły później do pojawienia się takich reformatorów religijnych, jak Luter czy Kalwin². Henryk VIII nie był jednak ani zwolennikiem, ani nawet sympatykiem ich nauk. Przeciwnie, zwalczał je tak gorliwie, że w uznaniu zasług na tym polu papież Klemens VII nadał mu tytuł „obrońcy wiary”³. Był on natomiast zwolennikiem tej nauki, której wykładnię znalazł m.in. na kartach *Pochwały głupoty* Erazma z Rotterdamu (skądinąd profesora na kilku ówczesnych uniwersytetach), oraz przeciwnikiem tych scholastycznych nauk, które wówczas wykładano w Oksfordzie

¹ W świetle ogłoszonego w 1536 roku przez Parlament angielski aktu supremacji Henryk VIII uznany został za „głowę Kościoła Anglii”. Tytuł ten nie przysługiwał i nie przysługuje jednak już jego następcom. Szerzej w tej kwestii, por. T.J. Zieliński, *Państwowy Kościół Anglii. Studium prawa wyznaniowego*, Wydawnictwo ChAT, Warszawa 2016.

² „Dominujący na dworze i na uniwersytetach zwolennicy nowej nauki przyzwyczaili się uważać mnichów i braciszków za najbardziej obskuranckich wrogów nowych prądów”. Por. G.M. Trevelyan, *Historia społeczna Anglii*, PIW, Warszawa 1961, s. 112 i d.

³ Zdaniem G.M. Trevelyan, Henryk VIII „brzydził się protestantami i prześladował ich, a gdyby tego nie robił, mógłby utracić tron wobec ówczesnego stanu opinii publicznej” (tamże).

i w Cambridge. Korzystał on przy tym ze wsparcia takich uniwersyteckich autorytetów, jak zwolennik nowej nauki oraz nowego Kościoła Thomas Cranmer. Ten teolog i profesor Cambridge unieważnił zarówno pierwsze małżeństwo króla z Katarzyną Aragońską, jak i drugie z Anną Boleyn. W „rozliczeniu” za te usługi otrzymał godność arcybiskupa Canterbury. Henryk VIII profesurę angielskich uczelni przekonywał do siebie i swojej polityki również przy pomocy takich wymiernych argumentów, jak np. fundowanie z królewskiej kasy nowych kolegiów (mimo że sam borykał się z poważnymi problemami finansowymi)⁴.

Odpowiedź na pytanie: jak na tym wszystkim wyszły angielskie uniwersytety, nie może być jednoznaczna. Zależy ona bowiem od tego, w jakiej perspektywie będziemy oceniali ich edukacyjną i naukową kondycję. W tej krótszej, sięgającej nie dalej niż koniec panowania Elżbiety I (zm. w 1603 r.), była ona niezła, a nawet uczelnie te przeżywały okres swojej świetności. Złożyło się na to wiele przyczyn, w tym polityka prowadzona przez tę królową, dobrze rozumiejącą zarówno edukacyjne potrzeby swojego kraju, jak i skłonności do leniwego życia uniwersyteckiej kadry. Tym ostatnim przeciwdziałać miało m.in. wprowadzenie w Oksfordzie i w Cambridge królewskimi rozporządzeniami takiej dyscypliny, która sprawiała, że kadra ta zmuszona była wykonywać swoje codzienne obowiązki (takie m.in. jak prowadzenie wykładów), co – zdaniem przywoływanego już tutaj autora *Historii społecznej Anglii* – wyróżniało te uczelnie na tle tego, co miało miejsce na innych ówczesnych uniwersytetach europejskich. W efekcie z murów tych uczelni wyszło wówczas wielu znaczących ludzi tamtej epoki, a od osób ubiegających się o stanowiska w służbach publicznych zaczęto wymagać dyplomu jednego z tych dwóch „uczonych uniwersytetów”⁵. Jednak nawet w okresie elżbietańskim nie wszystko na tych uczelniach wyglądało idealnie – świadczy o tym m.in. „swobodne rozdawanie godności uniwersyteckich synom albo klientom ludzi bogatych i możnych lub też prawnikom intrygującym i pracującym na rzecz kolegium”.

W dłuższej perspektywie – sięgającej XVIII stulecia – korzystanie przez te uczelnie z politycznego „parasola ochronnego” doprowadziło je do głębokiego upadku. Przedstawiając ich kondycję w tamtym stuleciu, G.M. Travelyan pisze, że uniwersytety te nie dopuszczały w swoje mury „nikogo, kto nie należał do Kościoła państwowego, a tym, których raczyły przyjąć dawały tak złe i kosztowne wykształcenie, że liczebność ich

⁴ „Mimo to nawet ufundował Trinity College, zakrojone na większą skalę niż którekolwiek inne w Cambridge. Prawdopodobnie natchnieniem do tego dobrego uczynku było mu Cardinal College (Christi Church), dopiero co ufundowane przez Wolseya, również z tego, co złupił na klasztorach, gdyż zagarnianie majątków i dziesięcin klasztornych nie było wynalazkiem Henryka ani Reformacji” (tamże, s. 116).

⁵ „Sidney i Raleigh, Camden i Hakluyt wyszli z Oksfordu, Cecilowie, Baconowie i Walsingham studiowali w Cambridge, żeby nie wspomnieć Spensera i Marlowe’a” (tamże, s. 185).

spadła w sposób żalony do mniej niż połowy studentów w porównaniu z czasami Lauda i Miliona (przypadają one na drugą połowę XVII stulecia – uwł. wł.). Obwarowany przywilejem monopol tam istotnie dawał się poznać z najgorszej strony”⁶.

Casus Hitlera o tyle ma coś wspólnego z *casusem* Henryka VIII i kontynuatorami jego polityki w stosunku do wyższych uczelni, że realizowany był on w krajach mających również długie tradycje akademickie. Niejeden z niemieckich uniwersytetów ma zresztą nie tylko takie tradycje, ale także zapisał w historii kultury europejskiej znaczące karty. Należy do nich m.in. ufundowany w 1386 roku przez lektora Palatynatu Ruprechta Uniwersytet w Heidelbergu oraz ufundowany przez książąt saskich Fryderyka I Kłótnika oraz Wilhelma II Bogatego uniwersytet w Lipsku. Na tym ostatnim jeszcze w pierwszej połowie XVI stulecia kształciło się m.in. wiele znaczących dla polskiej kultury osób. Dojście do głosu niemieckich reformatorów religijnych oraz pojawienie się w krajach wchodzących w skład cesarstwa niemieckiego wojen religijnych przyczyniło się zaostrenia polemik prowadzonych na tamtejszych uniwersytetach między zwolennikami i przeciwnikami tzw. *devotio moderna* (*nowej pobożności*)⁷. Warto przypomnieć, że Luter z tym reformistycznym nurtem zetknął się bezpośrednio podczas swoich studiów na uniwersytecie w Erfurcie, a później (latem 1519 roku) brał udział w głośnej debacie na uniwersytecie w Lipsku z teologiem Janem Ekiem. Konflikt ten miał zarówno swoje rozwiązanie religijne, jak i polityczne. Jedno i drugie łączyła przyjęta w 1555 roku przez sejm w Augsburgu zasada: *cuius regio, eius religio* (*czyja władza, tego religia*)⁸.

Podobnie jak w przypadku Anglii różnie się to przekładało na kondycję niemieckich uniwersytetów. W XVIII stuleciu było ich wprawdzie w Rzeszy stosunkowo dużo (bo aż 42), jednak kształciły one stosunkowo niewielką liczbę studentów i to niejednokrotnie na marnym poziomie⁹. Lepiej zaczęło się na nich dziać w następnym stuleciu – nie tylko

⁶ „Leniwy, sybarycki, bezzenny stan duchowny, w jakim żył personel uniwersytecki w osiemnastym wieku, przypominał tryb życia mnichów piętnastowiecznych i tyleż mniej więcej zeń było pożytku. (...) Na obu uniwersytetach większość członków kolegiów zupełnie zaniedbywała studentów, choć tu i ówdzie jakiś tutor (wychowawca) kolegialny gorliwie pełnił obowiązki, które powinien był dzielić cały zespół” (tamże, s. 355 i n.).

⁷ Szerzej w tej kwestii, por. J. Aumann, *Christian spirituality in the Catholic tradition*, 1985 Ignatius Press, p. 180. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Luter z tym reformistycznym nurtem zetknął się bezpośrednio na Uniwersytecie w Erfurcie.

⁸ Ścisłej rzecz biorąc: „według postanowień paragrafu 11 prawo swobodnego wyboru religii przyznawano jedynie stanom Rzeszy, a nie poddanym. Stąd też w wypadku przejścia księcia na protestantyzm w myśl zasady „ubi unus dominus ibi sit religio” („gdzie jeden pan, tam niech będzie jedna religia”) poddany miał albo przyjąć wyznanie władcy, albo też emigrować po sprzedaniu swych dóbr”. Por. W. Czapliński, A. Galos, W. Korta, *Historia Niemiec*, Ossolineum, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, 1981, s. 285.

⁹ Szerzej w tej kwestii, por. A. Wolff-Powęska, *Niemiecka myśl polityczna wieku oświecenia*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1988.

zresztą na „starych”, ale także na nowych uniwersytetach; takich m.in. jak założony w 1810 roku przez uczonego i polityka Wilhelma von Humboldta uniwersytet w Berlinie. Z uwagi na swój nowoczesny program, którego podstawą jest idea jedności nauczania i prowadzenia badań naukowych, nazywany jest on „matką wszystkich nowoczesnych uniwersytetów”.

Te pozytywne zmiany zostały zahamowane, a nawet cofnięte do najbardziej mrocznych dla wyższych uczelni lat, po przejęciu w 1933 roku władzy przez Hitlera. Na początek odwołani zostali dotychczasowi rektorzy i powołani nowi (z tytułem „Führera uczelni”), a senatom i radom wydziałów niemieckich uczelni nadano status „narodowo-socjalistycznych rad mężów zaufania”. Za tym szła bezpośrednio prowadzona przez władze III Rzeszy oraz przez nowo powołane Ministerstwo Nauki, Wychowania i Oświaty Narodowej polityka tzw. ujednoczenia oraz aryżacji (dzielenia społeczności akademickiej na „Aryżczyków”, „pół-Aryżczyków” i „nie-Aryżczyków”). Prowadziła ona m.in. do relegowania z niemieckich uczelni uczonych żydowskiego pochodzenia i usuwania z programów kształcenia takich teorii, których – jak np. w przypadku teorii względności Alberta Einsteina – autorami były osoby niearyjskiego pochodzenia. W miarę nasilania przez III Rzeszę ekspansji militarnej coraz bardziej ograniczono limity przyjęć na studia oraz prawo ich podejmowania przez osoby zdolne do służby wojskowej¹⁰. Tam gdzie taka polityka mogła trafiać na opory lub władze polityczne nie miały zaufania do władz uczelnianych, tworzono nowe uczelnie. Tak się rzecz miała m.in. z powołanym w 1941 roku w Poznaniu Uniwersytetem Rzeszy. Jego kadre stanowili w większości sprowadzeni z krajów nadbałtyckich profesorowie niemieccy, natomiast kuratorem został urodzony wprawdzie w Poznaniu, ale mieszkający wcześniej w Charlottenburgu i oddany nazistowskim władzom (członek SS) Hans Streit¹¹.

Twierdzenie, że na wielu tych uczelniach, które znalazły się we władaniu Hitlera, opór wobec jego polityki ich profesury był znaczny, nie znajduje niestety potwierdzenia w faktach. Bez większego bowiem trudu można wskazać na takie fakty, których profesura ta powinna się wstydzić – żeby tylko tytułem przykładu przywołać wykonywanie przez uczonych z Uniwersytetu Wiedeńskiego badań na zwłokach więźniów dostarczanych im przez nazistowskie władze¹². Nie chodzi tutaj jednak o wytykanie jednej czy

¹⁰ Sprawilo to, że liczba studiujących na niemieckich uczelniach zmniejszyła się w ciągu zaledwie pięć lat po dojściu Hitlera do władzy o ponad 60%, a później ten spadek był jeszcze większy.

¹¹ Szerzej w tej kwestii, T. Wróblewska, *Die Reichsuniversität Posen, Prag und Strassburg als Modelle nationalsozialistischer Hochschulen in den von Deutschland besetzten Gebieten*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2000.

¹² Trzeba jednak przyznać, że uczelnia ta nie stara się ukryć tego faktu – o czym świadczy m.in. opublikowany przez nią w 1998 roku raport na ten temat. Szerzej w tej kwestii, por. Ch. Hubbard, *Eduard Pernkopf's Atlas of Topographical and Applied Human Anatomy: The Continuing Ethical Controversy*, *The Anatomical Record*. New Anat. 265 (55), 2001.

drugiej uczelni zbytniej uległości wobec władzy politycznej czy korzystania z tych profitów, które mogła ona zaferować jakieś uczelni lub grupie uczelnianej społeczności. Problem ma bowiem ogólniejszy charakter, a generalnych wniosków, które można sformułować na bazie analizy *casusu* Hitlera, nie da się sprowadzić do stwierdzenia, że zdeprawowana władza może deprawować i niejednokrotnie deprawowała również tych, których zadaniem było i jest m.in. dbanie o wysokie standardy etyczne lub też – całkiem zwyczajnie – o taką przyzwoitość, która nie przynosi wstydu.

To samo można powiedzieć przy *casusie* Stalina. Od poprzedniego różni się m.in. tym, że narodził się i dojrzał w kraju mającym stosunkowo niewiele wyższych uczelni, a te, które były, nie wyróżniały się wysokim poziomem kształcenia i prowadzonych badań. Dwa największe z rosyjskich uniwersytetów, tj. petersburski (założony w 1724 roku przez cara Piotra Wielkiego) oraz moskiewski (założony w 1755 r. przez cesarzową Elżbietę Piotrową) wzorowały się wprawdzie na uniwersytetach niemieckich, jednak nawet największe zaangażowanie rosyjskiej elity intelektualnej tamtych czasów nie było w stanie zastąpić braku tych kadr, które są niezbędne do kształcenia i prowadzenia badań na odpowiednim poziomie. Niepokoje społeczne, które pojawiły się w Imperium Rosyjskim na początku XX stulecia, znalazły również swój wyraz na tamtejszych uczelniach. W ich murach swoją rewolucyjną ideologię i frazeologię wykuwali niektórzy z późniejszych przywódców rewolucji 1917 roku, w tym Lenin (wł. Władimir Iljicz Uljanow)¹³. Jednak prym wśród nich wiodły nie osoby z akademickim wykształceniem, lecz takie, które swoją edukację szkolną kończyły na elementarnym poziomie lub też – jak to miało miejsce w przypadku Stalina (wł. Józef Wissarionowicz Dżugaszwili) – seminarium duchownego. Aczkolwiek później uzupełniali swoje przygotowanie do rządzenia w bezpośredniej walce z tymi wszystkimi, których postrzegali i przedstawiali jako „wrogów ludu”, to przecież trudno jest je porównywać z tym, które daje uczelniana edukacja.

Do tych „wrogów ludu” zaliczali oni m.in. ówczesną inteligencję rosyjską, w tym uczelnianych profesorów¹⁴. Represje wobec nich zaczęły się praktycznie od pierwszych dni przyjęcia władzy w tym kraju przez komunistów i trwały jeszcze po śmierci Stalina (zm. w 1953 roku). Przybierały one różne formy (z rozstrzeliwaniem włącznie) oraz

¹³ W 1887 roku podjął on studia prawnicze na Uniwersytecie Kazańskim, a po przeniesieniu się do Petersburga w 1893 roku kontynuował je na tamtejszym uniwersytecie. Szerzej na temat związków przywódców rewolucji w Rosji, por. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska*, PWN, Warszawa 1994.

¹⁴ Michał Heller i Aleksander Niekricz w swoim przeglądowym studium prezentującym okoliczności dojścia i sprawowania władzy w Rosji przez komunistów piszą, że „od pierwszego dnia rewolucji Lenin upatruje w inteligencji głównego wroga, tę siłę, która nie chce «podporządkować» się bez «długich debat» osobistemu autorytetowi jednego człowieka i jednej partii”. Por. M. Heller, A. Niekricz, *Utopia u władzy. Historia Związku Sowieckiego*, Universitas, Wrocław 1989, t. 1, s. 112 i d.

przebiegały z różnym nasileniem¹⁵. Jedynie krótko przypomnę, że Stalin po wyeliminowaniu (w 1927 roku) z życia politycznego najgroźniejszych przeciwników oraz konkurentów do sprawowania władzy w Związku Radzieckim stał się najwyższą władzą polityczną w tym państwie i uznał siebie za najwyższy autorytet naukowy. Komunistyczni propagandyści nazywali go „Wielkim Językoznawcą”; ale przecież nie tylko w tej dyscyplinie uchodził on za wybitnego „znawcę”. Przywoływani już tutaj historycy uznają styczeń 1934 roku za ten moment, w którym apoteoza Stalina osiągnęła swoje apogeum. Dla społeczeństwa tego kraju oznaczało to, że jego życie zostało wzięte „w cugle, nowe prawa ostatecznie pozbawiały obywateli wolności. Nikt już nie ośmielał się kwestionować prawa Stalina do jedynowładztwa”¹⁶.

Przekładało się to bezpośrednio na funkcjonowanie wyższych uczelni oraz tych instytucji, których statutowym celem było – tak jak w przypadku tamtejszej Akademii Nauk – prowadzenie badań naukowych. Oznaczało to, że w praktyce wszystkie dziedziny wiedzy (również nauki przyrodnicze i matematyczne) podporządkowane zostały komunistycznej ideologii, a wśród tych, których pierwszoplanowym zadaniem stało się jej umacnianie, znalazły się m.in. filozofia i historia¹⁷. Społeczność akademicka oczywiście różnie reagowała na ten dyktat. Składała się bowiem – jak w każdym innym kraju – z różnych osób i różnych osobowości. Byli wśród nich jednak również ci, którzy tworzyli kadre Instytutu Czerwonej Profesury. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że generalnie społeczność akademicka bez słowa sprzeciwu przyjmowała to, co jej nakazywał myśleć, mówić i robić Stalin. Pojawiały się bowiem również takie osoby lub nawet całe grupy uczonych, które przynajmniej próbowały w jakiś sposób dystansować od tego, co mówił i robił Stalin oraz jego polityczni towarzysze. Spotykały ich za to różnego rodzaju represje – z aresztowaniem i mordowaniem włącznie¹⁸.

Pod koniec 1944 roku Stalin i jego ludzie „zapukali” (określenie to z oczywistych względów biorę w cudzysłów) do drzwi polskich uczelni na Kresach Wschodnich – takich m.in. jak Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie czy Uniwersytet Stefana Bato-

¹⁵ Przywoływani tutaj autorzy przypominają m.in. głośny proces z 1921 roku, w którym postawiono przed sądem i skazano na śmierć „znaczoną grupę wybitnych uczonych rosyjskich, działaczy kultury” (por. tamże, s. 113 i d.)

¹⁶ „W lutym 1934 roku, na XVII Zjeździe partii Kirow dokona podsumowania, nazywając Stalina «największym człowiekiem wszystkich czasów i narodów»” (tamże, s. 204).

¹⁷ „Filozofia była – i pozostaje – nieodłącznym atrybutem Wodza partii komunistycznej, Najwyższego Kapłana Doktryny. Ale być może większą wagę przykładu Stalin do historii. (...) Stalin dyktuje w swym liście, czym powinni się zająć historycy i jak mają pracować. Pierwsze zadanie to przeróbka historii partii, a następnie – rewizja historii Rosji” (tamże, s. 216 i n.).

¹⁸ „Celem polityki jest «sterowanie uczonym ludkiem», sterowanie nauką. Uczonych straszy się aresztuje się ich pojedynczo, później całymi grupami, (...) w 1930 roku grupę mikrobiologów, potem agronomów, fizjologów, konstruktorów lotniczych i tak dalej” (tamże, s. 238).

rego w Wilnie – i „wyprosili” z nich tych profesorów, których uznali za „element klasowo wrogi” lub politycznie niepewny. Na początku stycznia 1945 roku przeprowadzona została wielka akcja oczyszczenia tych uczelni ze znaczącej naukowo profesury. Aresztowano wówczas m.in. 31 profesorów lwowskiego uniwersytetu oraz politechniki. Późniejsze działania dyplomatyczne polskich polityków – takich m.in. jak Stanisław Grabski (był on działaczem socjalistycznym, ale także profesorem ekonomii w kilku polskich uczelniach) – doprowadziły do podpisania umowy między ZSRR i Polską, na mocy której możliwa stała się ewakuacja m.in. polskich uczonych na ziemie wchodzące (na mocy porozumienia jałtańskiego) w skład państwa polskiego. Część z nich trafiła do tych miast, w których od wieków istniały wyższe uczelnie (takich m.in. jak Kraków czy Wrocław). Spora ich grupa znalazła się m.in. w Toruniu, stając się „ojcami założycielami” nowej uczelni, tj. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika¹⁹. Inna ich część trafiła do (jak mówiło się w komunistycznej propagandzie) „robotniczej Łodzi” (niemającej również uniwersyteckich tradycji), umożliwiając powołanie (w maju 1945 roku) wielowydziałowego Uniwersytetu Łódzkiego²⁰. W tej dyslokacji uczonych z Kresów Wschodnich było zapewne trochę improwizacji. Niemaló jednak w niej było również planowej polityki wzmocnienia wybranych środowisk społecznych oraz ograniczania niepożądanego wpływu na społeczeństwo tej profesury, którą raczej trudno byłoby przekonać do komunistycznej ideologii. Jakby jednak na to nie patrzeć, ten swoisty „desant” ze wschodu okazał się jedną z lepszych rzeczy, które mogły spotkać polskie uczelnie po 1945 roku. Rzecz jasna, odbyło się to kosztem tych uczelni, które pozostały poza wschodnią granicą.

Można sporządzić długą listę tego, co trafiło na nie z tamtej strony granicy po tym przełomowym roku oraz sprawiło, że na każdej z nich przez wiele lat trzeba było realizować nie tylko zadania edukacyjne i badawcze, ale także polityczne i ideologiczne; a były przecież również takie placówki edukacyjne i badawcze, które – tak jak Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy Komitecie Centralnym PZPR – zostały powołane głównie po to, aby rozwijać i upowszechniać marksistowsko-leninowską teorię i ideologię²¹. W niejednym przypadku było to „mechaniczne” przenoszenie na grunt polski tego, co pojawiało się i upowszechniło w okresie stalinowskim w ZSRR i w niejednym

¹⁹ Formalnie uczelnia ta powołana została do istnienia 24 sierpnia 1945 roku dekretem Rady Ministrów, zatwierdzonym przez Prezydium Krajowej Rady Narodowej. Por. Uniwersytet Mikołaja Kopernika – informator, Wydawnictwo UMK, Toruń 1999.

²⁰ Pierwotnie występował on pod nazwą: Państwowy Uniwersytet – Wolna Wszechnica, nawiązującą do działającej w tym mieście w latach 1928–1939 Wolnej Wszechnicy Polskiej.

²¹ Instytut ten powołany został w 1950 roku i składał się z 3 wydziałów, tj. Materializmu Dialektycznego i Historycznego, Ekonomii Politycznej oraz Historii Polski, Historii Powszechnej i Historii WKP (b). Był on wzorowany na wspomnianym wcześniej Instytucie Czerwonej Profesury. Szerzej w tej kwestii, por. T. Rutkowski, *Nauki historyczne w Polsce 1944–1970*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2007.

przypadku różniło się ono od pierwowzoru. Można nawet spotkać się z opinią, że w tzw. obozie państw socjalistycznych byliśmy „najbardziej zabawnym barakiem”. Być może określenie to może skłaniać do śmiechu. Jednak raczej nie było w tamtym okresie do śmiechu tym profesorom polskich uczelni, którym zarzucano tzw. rewizjonizm oraz pozbawiano pracy na wyższej uczelni. Nie było również do śmiechu tym władzom uczelnianym, które były nadzorowane (bez żadnego cudzysłowu) przez zewnętrzne i wewnętrzuczelniane organizacje partyjne, oraz tym pracownikom uczelni, którzy ubiegając się o kolejny stopień lub tytuł naukowy, spotykali się ze sprzeciwem tych organizacji (składających się niejednokrotnie z osób, które mogły się wykazać wyłącznie lub głównie zaangażowaniem politycznym i ideologicznym). Są to fakty dzisiaj dosyć szeroko znane. Przypominając je, nie chodzi mi jednak o to, aby po raz kolejny wykazywać błędy i wypaczenia tych, którzy jeszcze tak niedawno byli monopolistami w ustaleniu tego, co jest dobre, pożądane oraz wskazane dla polskich uczelni. Chodzi natomiast o to, aby wyraźnie powiedzieć, że w takim specyficznym środowisku, jakie stanowi społeczność uczelniana, nie ma, a przynajmniej nie powinno być, miejsca na wielkie monopole, a monopol polityczny należy do tych, które stanowiły i stanowią szczególnie duże zagrożenie dla ich prawidłowego funkcjonowania.

Polityka w czasach „aksamitnych” rewolucji

Tytułem tej części rozważań nawiązuję do wydarzeń z 1989 roku w Czechosłowacji, które sprawiły, że w tym kraju przestał obowiązywać ustrój tzw. demokracji ludowej i do głosu w życiu publicznym doszli ci, którzy stanowili i stanowią o sile demokracji parlamentarnych, tj. zwyczajni obywatele. Określeniem „aksamitne” rewolucje posługuję się tutaj jednak w ogólniejszym sensie, bowiem odnoszę je do tych wielu przemian w krajach zachodnich, które oznaczały i oznaczają głębokie zmiany w różnych sferach życia społecznego – jednak dokonywane one były i są nie przy pomocy argumentu siły, lecz siły argumentów prezentowanych publicznie i dyskutowanych z udziałem wszystkich zainteresowanych stron. Warto przy okazji przypomnieć, że tam gdzie się narodziło to określenie, początek tym zmianom dała pokojowa demonstracja studentów (w 50. rocznicę egzekucji czeskich studentów), a później – po jej brutalnym rozpędzeniu przez tamtejsze siły bezpieczeństwa – ich strajk²². Rzecz jasna, można ten rodzaj zmian nazwać również „rewolucją bez rewolucji” lub też – jak to np. miało miejsce w Portugalii – „rewolucją goździków”.

Problem jednak jest nie tyle w nazwie, co w jej charakterze oraz w ocenie jej społecznych następstw. Ci, którzy stosunkowo najwięcej na nich tracili (w krajach Europy

²² Por. A. Centkowska, *Jesień Ludów 89'; kalendarium wydarzeń*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1992.

Środkowej, w tym w Polsce, należeli do nich m.in. komuniści) odwoływali się oni i odwołują do takich określeń, jak np. „pucz” czy „zamach stanu”, oraz innych mocnych słów mogących zdyskredytować te zmiany w oczach opinii publicznej. Natomiast ci, którzy wiązali i wiążą z nimi swoje nadzieje, mówią o nich w kategoriach nadziei na lepsze jutro – takich np. jak powrót do takiej rzeczywistości, która przynajmniej nie będzie się kłóciła (jak to miało niejednokrotnie miejsce w tzw. realnym socjalizmie) ze zwyczajnym zdrowym rozsądkiem. Warto o tym pamiętać, bowiem w czasach „aksamitnych” rewolucji te i podobne im słowa mają czasami nawet większą moc sprawczą, niż miały w czasach rewolucji „karabinowych”, a po słowne środki rażenia ze „starego arsenału” sięgają dzisiaj również ci, którzy ich wynalazców odsyłają na tzw. śmietnik historii. Stanowi to zresztą jeden z problemów związanych z obecnym upolitycznianiem wyższych uczelni i to bynajmniej nie najtrudniejszy do rozwiązania.

Odpowiedź na pytanie, które z nich należałoby uznać dzisiaj za najtrudniejsze, wymaga wskazania przynajmniej kilku tych pozycji, których obronę uczelnie wyższe uznają za szczególnie ważne dla efektywnego realizowania swoich społecznych zadań, czy też – jak to się określa w niejednym z ich programowych dokumentów – misji. Należy do nich to, co zwykło się nazywać „akademickimi wolnościami” lub autonomią wyższych uczelni, a co wyraża się m.in. w uprawnieniach uczelnianej profesury do decydowania o tym, czego nauczać i jak nauczać, oraz jakie problemowe badawcze podejmować i jak je rozwiązywać – bez ulegania naciskom, wymuszeniom czy groźbom utraty pracy ze strony tych, którzy wprawdzie sporo mogą mieć do powiedzenia w polityce czy w gospodarce, ale jednak nie posiadają takich kompetencji, aby decydować o akademickiej nauce i akademickim nauczaniu.

Rzecz jasna, różnie wygląda obrona tego uczelnianego „szańca” w różnych krajach, a także w tym samym kraju, ale na różnych uczelniach. Różny jest bowiem ich charakter (w naszym kraju jest to widoczne m.in. przy porównaniu klasycznych uniwersytetów z tzw. uniwersytetami przymiotnikowymi), różne są źródła ich finansowania (szczególnie duże różnice generuje to między uczelniami publicznymi i prywatnymi) oraz różny sposób sprawowania nad nimi nadzoru przez osoby oraz instytucje (w USA są to m.in. różnego rodzaju zarządy nadzorcze)²³. Różnice te występują mimo odciskających dzisiaj na uczelniach swoje piętno procesach globalizacyjnych i unifikacyjnych. Jest to kolejny poważny problem, któremu zmuszone są one stawić czoła; i stawiają – rzecz jasna, w różny sposób, z różnym powodzeniem, a niekiedy bez większych sukcesów na tym konfrontacyjnym polu.

²³ Jak to wygląda na amerykańskich uczelniach przedstawia m.in. – A. Bloom w swojej książce pt. *Umysł zamknięty* (Wydawnictwo Zysk i Sp., Poznań 2012), oraz B.L.R. Smith, J.D. Mayer i A.L. Fritscher w książce pod podobnym tytułem: *Closed minds? Politics and Ideology in American Universities* (Printed by R. Donnelley Harrisonburg, Virginia 2008).

Dla krajów należących do Unii Europejskiej ramy tej konfrontacji oraz jej warunki wyznaczali i wyznaczają zarówno ci politycy i urzędnicy, których umownie nazwę „brukselskimi”, jak i ci, którzy w krajach unijnych mieli lub mają mandat do pełnienia władzy ustawodawczej i wykonawczej w państwie lub – po prostu – mają taką pozycję polityczną, że mogą dokonać „aksamitnej” rewolucji (i wygląda na to, że faktycznie krok po kroku jej dokonują). Dla szkolnictwa wyższego tych krajów szczególnie znaczące następstwa miało podpisanie 19 czerwca 1999 roku przez ministrów odpowiedzialnych za edukację i naukę w krajach UE Deklaracji Bolońskiej²⁴. W tym stosunkowo krótkim dokumencie znalazły się takie zobowiązania jego sygnatariuszy, które oznaczały dla uczelni publicznych krajów unijnych prawdziwie rewolucyjne zmiany w organizacji systemu kształcenia – takie m.in. jak odejście od jednoetapowego kształcenia magisterskiego i przejście do „systemu opartego zasadniczo na dwóch głównych etapach: licencjackim i magisterskim” czy przyjęcie punktowego systemu rozliczania poszczególnych lat i etapów studiów wyższych (tzw. ECTS). Organizowane w późniejszym czasie kolejne konferencje tych ministrów oraz podpisywane przez nich deklaracje sprawiły, że nie tylko zaczęto mówić o Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego, ale także zaczęto traktować to szkolnictwo jako integrujący się, a po pewnym czasie już w znacznej mierze zintegrowany system kształcenia na poziomie wyższym. Czy jest to polityka? - bez wątplenia jest. Czy jest to jej wkroczenie szerokim frontem do wielu wyższych uczelni europejskich? – i w tej kwestii nie można mieć większych wątpliwości. Podobnie rzecz się ma z prowadzeniem badań naukowych. Wprawdzie polityka ta występuje tutaj pod innymi nazwami niż polityka edukacyjna (takimi m.in. jak „programy ramowe UE”), oraz realizowana jest w odmienny od tej ostatniej sposób (taki m.in. jak wskazywanie priorytetów oraz konkretnych zadań badawczych), to w założeniach do niej mówi się w gruncie rzeczy to samo, tj. „o spójności”, „innowacyjności”, „efektywności” oraz takich szansach, o których mogą jedynie pomarzyć ci, którzy nie przyłączą się do tych przedsięwzięć²⁵.

Można oczywiście zapytać: co w tym złego, że taką politykę się prowadzi oraz zachęca się do udziału w niej tych, którzy posiadają odpowiednie kwalifikacje do akademickiego kształcenia i prowadzenia badań naukowych na wysokim poziomie? Jedną z możliwych odpowiedzi na to pytanie można znaleźć w książce Krystiana Szadkowskiego pt.

²⁴ Por. R. Mosakowski, *Szkolnictwo wyższe w krajach Unii Europejskiej. Stan obecny i planowane reformy*, Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej, Gdańsk 2002, s. 251 i d.

²⁵ W znajdującym się na stronie naszego MNiSW wprowadzeniu do aktualnie realizowanego programu ramowego pod nazwą „Horyzont 2000” stwierdza się m.in., że jest to „największy w historii program finansowania badań naukowych i innowacji w Unii Europejskiej. Jego budżet w latach 2014–2010 wynosi prawie 80 mld euro. Chodzi o stworzenie spójnego systemu finansowania innowacji: od koncepcji naukowej, poprzez etap badań, aż do wdrożeń nowych rozwiązań, produktów czy technologii”.

Uniwersytety jako dobro wspólne. Jej autor przywołuje na wstępie przykład Clarka Kerrego, rektora Uniwersytetu Kalifornijskiego, który „traktował uniwersytet jak kolejny sektor produkcji, tym razem zasilający dynamicznie rozwijający się przemysł wiedzy” i którego polityka przyczyniła się do tego, że na uczelni spłynęły „szerokim strumieniem pieniądze”. Sprawilo to, że stała się ona „flagowym okrętem” (z „kapitanem biurokrata” C. Kerrym na jej „mostku”) amerykańskiego szkolnictwa wyższego. Jednak ceną za to była „przymusowa industrializacja” oraz „roztopienie jej w otaczającej ją tkance społecznej”²⁶. Autor ten wskazuje również na takie następstwa tej polityki, jak „hybrydyzacja” uczelni, tj. „zmieszanie na nich porządków tego, co prywatne, i tego, co publiczne” oraz „hegemonizacja” takiego modelu amerykańskiego systemu szkolnictwa wyższego, w którym na pierwsze miejsce wysuwają się te uczelnie, które potrafią zgromadzić największe środki finansowe, a co za tym idzie, zaoferować uczonym stosunkowo najlepsze warunki pracy i płacy²⁷.

Mógłby ktoś powiedzieć, że to jest problem Ameryki i Amerykanów. Gdyby tak było, to zapewne ani ten autor, ani inne osoby zajmujące się analizą procesów zmian zachodzących dzisiaj w szkolnictwie, nie wskazywaliby na te niebezpieczeństwa, które wynikają z bezkrytycznego przenoszenia amerykańskich rozwiązań na grunt europejski. Dotyczy to oczywiście nie tylko kopiowania tamtejszego systemu szkolnictwa wyższego, ale także myślenia i mówienia o uczelni wyższej jako swoistym „biznesie”, „przedsiębiorstwie” czy takiej „firmie”, w której liczy się przede wszystkim dodatni bilans przychodów i rozchodów – bo jak nie, to ogłoszona zostanie jej upadłość lub będzie ona zmuszona przyjąć taki program naprawczy, który z reguły wiąże się z jej „odchudzeniem” kadrowym. Być może są to tzw. oczywiste oczywistości. Jeśli jednak o tym mówię, to m.in. dlatego, że w dzisiejszych dyskusjach o problemach szkolnictwa wyższego niejednokrotnie dosyć bezkrytycznie używa się takich określeń, które – tak jak np. „komercjalizacja badań” – albo wzięte są z języka biznesu, albo przynajmniej zacieraają różnice i granice między gospodarką i badaniami naukowymi.

Ostatnia z tych kwestii wiąże się bezpośrednio z upolitycznianiem wyższych uczelni nie tylko „od góry” (przez polityków mających moc sprawczą w różnego rodzaju gremiach centralnych), ale także „od dołu”, tj. przez pracowników wyższych uczelni funkcjonujących w takich gremiach uczelnianych, jak senaty, rady wydziału, związki zawodowe

²⁶ „Rozpuszczanie się uniwersytetu w tym, co społeczne, wiąże się (...) nie tyle z powiązaniem z walkami ruchów społecznych, pracowniczych czy studenckich, ile z wyjściem naprzeciwko potrzebom państwa i kompleksu przemysłowo-zbrojeniowego. Słowem, z przekształceniem się w fabrykę wiedzy”. Por. K. Szadkowski, *Uniwersytet jako dobro wspólne. Podstawy krytycznych badań nad szkolnictwem wyższym*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2015, s. 3 i d.

²⁷ Zdaniem tego autora (ale przecież nie tylko jego), „interes hegemonicznych systemów szkolnictwa wyższego, czy też amerykańskiego systemu-hegemonia, niemal niepodzielnie dominuje nad polem akademickim wraz z grupą swoich anglosaskich sojuszników” (tamże, s. 43).

i samorządowe itp., a także przez tych, które wprawdzie nie są członkami żadnego z nich, jednak wypowiadają się publicznie i opowiadają się po którejś ze stron w toczących się sporach i walkach politycznych. Ten sposób upolitycznienia wyższych uczelni należy bez wątpienia do bardziej wrażliwych sfer akademickiego życia. Bierze się to m.in. stąd, że w społeczeństwie obywatelskim (a o takie społeczeństwo toczony są przecież batalie w „aksamitnych” rewolucjach) każdy jego członek ma prawo, a niejednokrotnie również obowiązek publicznego wypowiedzenia się w tych kwestiach, które uznaje za istotne społecznie. Jednak granica między momentem, do którego występuje on jako „Jan Kowalski” (mniej sja o to, czy z akademickim tytułem, czy też bez niego), i zaczyna występować jako reprezentant określonej uczelni, jest płynna i stosunkowo łatwa do przekroczenia – zwłaszcza w tych mediach, którym zależy na uwiarygodnieniu wypowiedzi takiej osoby wskazaniem jej uczelnianej afiliacji (a którym mediom na tym nie zależy?). Co więcej, osoby te rzadko kiedy przeciwstawiają się takiemu sposobowi przedstawiania ich w tych mediach – niejednokrotnie nie tyle nawet dlatego, że zależy im na tej swoistej nobilitacji, co dlatego, że mają głębokie przekonanie, iż występują w słusznej sprawie, lub też po właściwej stronie politycznej kontrowersji, i w ten sposób dobrze mogą się przysłużyć zarówno tej sprawie, jak i swojej uczelni.

Rozważania te będą wyglądały na „filozoficzne” dywagacje dopóty, dopóki nie zostaną poparte konkretnymi. Odwołam się zatem do kilku tych wydarzeń, w których uczestniczyłem w ostatnich latach bezpośrednio (jako dziekan dużego wydziału oraz członek senatu dużej uczelni) bądź też pośrednio (jako ich obserwator). W 2012 roku jedną z bardziej kontrowersyjnych kwestii okazała się sprawa zmanifestowania stanowiska politycznego przez mające swoich przedstawicieli na moim wydziale ugrupowanie anarchistyczne. Poszło o z pozoru drobną sprawę, bowiem o wywieszenie w dziekanacie plakatu tego ugrupowania wyrażającego „sprzeciw wobec ...”. Miejscowa prasa zrobiła z tego incydentu „wielką sprawę”, bowiem podała, że „dziekan Wydziału Nauk Społecznych uważa, że «na UAM humaniści mają być apolityczni»”²⁸. Wyjaśnianie, że w tej incydentalnej sprawie nie chodziło ani o wszystkich humanistów UAM (przecież nie wszyscy z nich sympatyzują z anarchizmem), ani też o apolityczność pod każdym względem i manifestowaną w różnych miejscach (w moim przekonaniu pomieszczenia dziekanatu WNS UAM nie były jednak dla nich właściwym miejscem), nie miałyby większego sensu (dziennikarze przecież wiedzą swoje).

Druga z tych spraw jest znacznie poważniejsza i trudniejsza do oszacowania, bowiem dotyczy kontrowersji i działań politycznych związanych z Trybunałem Konstytucyjnym. Stroną w niej byli nie tylko politycy i urzędujący sędziowie tego trybunału (niektórzy z nich z tytułami profesorskimi), ale także ci sędziowie, którzy zostali wprawdzie wybrani przez parlament, ale nie zostali zaprzysiężeni przez prezydenta RP (wśród

²⁸ Por. forum dyskusyjne z 7 maja 2012: edulandia.pl

tych ostatnich był m.in. profesor z mojej uczelni). Niektóre z uniwersyteckich wydziałów wystąpiły przeciwko tym działaniom politycznym, które sprawiły, że ci ostatni nie mogli objąć swoich funkcji. W uczelnianych dyskusjach pojawiła się m.in. propozycja, aby z protestem przeciwko nim wystąpił również senat mojej uczelni. Byłem temu przeciwny, jednak nie dlatego, że obawiałem się jakichś reperkusji wobec mojej uczelni ze strony sprawującej władzę polityczną większości, lecz przede wszystkim dlatego, że senat reprezentuje całą jej społeczność, a ta jest mocno zróżnicowana w swoich sympatiach i antypatiach politycznych. Jestem przy tym głęboko przekonany, że zasada większości ma tutaj ograniczone zastosowanie. Przeciwny byłbym zresztą również temu, aby na uczelniach ustalać, kto i w jakiej sprawie stanowi polityczną większość (prowadziłoby to wprost do ich upolitycznienia).

Kolejną z tych kontrowersyjnych kwestii jest udział części społeczności akademickiej w różnego rodzaju manifestacjach politycznych. Rzecz jasna, nie twierdzę, że nie ma ona do tego prawa. Sprawa jest jednak dyskusyjna wówczas, gdy profesor wyższej uczelni pojawia się na takich manifestacjach i razem z innymi ich uczestnikami wznosi hasła nawołujące do podjęcia jakichś radykalnych działań – mniejsza o to, czy wobec sił politycznych znajdujących się u władzy, czy też wobec sił opozycyjnych²⁹. Takie skrajnie upolitycznione postulaty pracowników wyższych uczelni mogą oczywiście pojawić się nie tylko na ulicznych manifestacjach, ale także w mediach (przekonuje o tym m.in. niedawna wypowiedź jednego z księży-profesorów z mojej uczelni). Trzeba powiedzieć, że władze mojej uczelni zareagowały na tego rodzaju wystąpienia polityczne ostrzeżeniem, że nie będą „tolerować wypowiedzi, które przynoszą szkodę wizerunkowi Uniwersytetu i wprowadzają podziały w akademickiej wspólnoty”. Zdarza się jednak i tak, że na zaangażowanie polityczne pracowników wyższych uczelni reagują również te władze, w których gestii znajduje się „prowadzenie polityki państwa w obszarze nauki oraz szkolnictwa wyższego”³⁰.

W ostatnim czasie pojawiała się na posiedzeniu senatu mojej uczelni kwestia poparcia „uchwały Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego z dnia 10 stycznia 2017 roku w sprawie: poszanowania ładu demokratycznego w Polsce”³¹. Zarówno jej preambuła, w której się mówi m.in. o takim wspólnym dobru, jakim jest Polska, jak i fakt, że jest

²⁹ Rzecz jasna, zachowania tłumów rządzą się swoimi „prawami”. Jednak od profesora wyższej uczelni można, a być może nawet należy oczekiwać, że nie będzie im bezkrytycznie ulegał.

³⁰ Interesującym przyczynkiem do dyskusji może być pismo (z 16 grudnia 2016 roku), w którym MNiSW zażądało od rektora UAM „zbadań sprawy wykorzystywania skrzynki służbowej przez pracowników uczelni do «celów prywatnych»” („Według nieoficjalnych informacji Onetu pismo dotyczyło działaczy KOD-u, a «cele prywatne» zostały w nim określone jako «koordynacja działalności antyrządowej»”).

³¹ Tekst tej uchwały został zamieszczony na stronie internetowej Uniwersytetu Jagiellońskiego (w zakładce: wiadomości).

ona adresowana do „wszystkich stron sporu politycznego” sprawiły, że przyłączyłem się w głosowaniu do tej zdecydowanej większości członków Senatu UAM, którzy uznali, że należy poprzeć tę uchwałę. Nie jest ona oczywiście pozbawiona takich odniesień, które mogą być odczytywane jako wsparcie głównie dla jednej strony dzisiejszych sporów politycznych. Jestem jednak przekonany, że w takiej sytuacji, jaka ma miejsce obecnie w Polsce, uczelnie nie tylko mają prawo, ale i obowiązek formułować tego rodzaju apele oraz oferować swoją pomoc w rozwiązywaniu konfliktowych problemów. Muszą się one przy tym liczyć z tym, że ani te apele nie zostaną wysłuchane, ani też ich oferta nie zostanie potraktowana poważnie; a być może nawet zostaną one przez polityków w jakiś sposób ukarane za swoje wystąpienia.

Na jeszcze jedną dyskusyjną kwestię chciałbym tutaj zwrócić uwagę. Stanowi ją funkcjonowanie takich stowarzyszeń o wyraźnej orientacji politycznej, które wprawdzie formalnie nie są uczelniane, jednak zarówno swoją nazwą, jak i składem kadrowym, a niekiedy również miejscem spotkań, sugerują bliskie związki z konkretnymi uczelniami. Rzecz jasna, nie twierdzę, że pracownicy wyższych uczelni nie mają prawa zrzeszać się w żadne grupy poparcia określonej opcji politycznej, czy też kultywowania pamięci określonej osoby. Warto jednak, aby wyraźniej, niż to ma obecnie miejsce, odróżniały one to, co jest uczelniane, od tego, co jest pozauczelniane, a także pamiętały o tych doświadczeniach z przeszłości, które potwierdzają, że zbytne zbliżenie polityki i polityków z uczelniami w ostatecznym rachunku nie wyszło na dobre ani jednemu, ani drugiemu.

Kilka ogólniejszych uwag

Pierwsza z nich dotyczy tych motywacji, którymi się kierują osoby wikłające wyższe uczelnie w politykę. Rzecz jasna, są one mocno zróżnicowane – co zresztą starałem się pokazać, przywołując *casusy* takich uwikłań. Jedno jednak o nich można powiedzieć z głębokim przekonaniem: rzadko kiedy jest tak, że motywacje polityków są tożsame z motywacjami tych osób, których zadaniem jest prowadzenie badań naukowych i kształcenie na wyższym poziomie. W tym ostatnim przypadku nie myślę oczywiście ani o „czerwonej”, ani też o „brunatnej profesurze”, bowiem w gruncie rzeczy byli to również politycy – tyle tylko, że „delegowani” przez swoich zwierzchników do wykonywania określonych zadań na wyższych uczelniach. Do pewnych refleksji skłania jednak fakt, że niejednokrotnie tak łatwo przychodziło politykom łączyć sprawy prywatne z publicznymi (problemy rozwodowe Henryka VIII to tylko jeden z możliwych wariantów takiego łączenia) oraz nadawać rangę „racji stanu” swoim osobistym urazom i kompleksom (antysemityzm Hitlera i Stalina stanowi tylko jeden z takich wariantów).

Do pewnych refleksji skłania również fakt, że na wyższych uczelniach pojawiała się, i pojawia, taka grupa osób, która albo nie chce, albo nie potrafi dostrzec i właściwie

ocenić tych motywacji; a bywało przecież i tak, że stawała się ich mniej lub bardziej świadomymi obrońcami. Można przecież, a być może nawet należy od tych osób wymagać nie tylko większego dystansowania się od tego rodzaju motywacji, ale także wskazywania ich negatywnych następstw. Dlaczego tego nie czynili lub też czynili to w taki sposób, że okazywało się to mało nieskuteczne? Twierdzenie, że niejednokrotnie brakowało im odwagi osobistej, nie jest zupełnie pozbawione racji. Podobnie zresztą jak nie jest jej pozbawione twierdzenie, że niejednokrotnie górę brała tutaj filozofia tzw. świętego spokoju (bez wątplenia potrzebnego do efektywnego prowadzenia badań). Nie chciałbym jednak nikogo osądzać – nie tylko dlatego, że stosunkowo łatwo jest formułować takie sądy i oceny komuś, komu władza polityczna niespecjalnie może coś istotnego dać lub zabrać (mam jednak nadzieję, że nie pojawi się ktoś, kto będzie starał się mi wykazać, że jest inaczej), ale przede wszystkim dlatego, że w tym dystansowaniu się z reguły potrzeba więcej rozważa niż odwagi; gdy zabraknie tej pierwszej, to może się okazać, że tak mocno uwikłaliśmy się w politykę, iż już nie pozostaje czasu na wykonywanie podstawowych obowiązków uczelnianych.

Druga z tych ogólniejszych uwag związana jest z niejednokrotnie trudną do wskazania granicą między tym, co jest polityczne, oraz tym, co nie jest polityczne. Społeczność uczelniana (ale przecież nie tylko ona) byłaby oczywiście w dużo bardziej komfortowej sytuacji, gdyby można było bez większego problemu ją wskazać. W przeszłości zresztą takie próby były podejmowane – żeby tylko tytułem przykładu przypomnieć nie tak w końcu odległe czasy, w których władze polityczne lansowały hasło: „biurokraci do biur, literaci do pióra”, a uczeni oczywiście do nauki i nauczania. W czasach tzw. płynnej rzeczywistości (jak nazywają współczesną kulturę niektórzy jej znawcy) nic nie jest takie łatwe do wskazania jak w czasach tych rzeczywistości, w których stosunkowo wyraźnie świat społeczny jawił się kolorach czarnym i białym. Dzisiaj w niejednym przypadku zdani jesteśmy na podejmowanie decyzji z wieloma niewiadomymi. W niejednym też przypadku zmuszeni jesteśmy kierować się nie tyle zasadą wspólnego dobra, czy większego dobra, co zasadą mniejszego zła.

Trzecia z tych uwag dotyczy tych sytuacji, w których mamy do czynienia z takim uwikłaniem życia społecznego w politykę, że prawie wszystko to, co się publicznie mówi i robi, może mieć – i niejednokrotnie ma – polityczny charakter; a to, co go nie ma, stanowi takie marginalia tego życia, że politycznym decydom nie warto się nimi przejmować i zajmować. Pod rządami tzw. komuny jednym z takich przejawów owego uwikłania było wypowiedzanie się w mediach publicznych wyłącznie lub głównie tych polityków, którzy sprawowali władzę. „Aksamitne” rewolucje i na tym polu doprowadziły do zasadniczych zmian. Sprawily one bowiem, że pojawiły się media prywatne, a w nich głosy politycznej opozycji. Inaczej to wyglądało, i wygląda, w życiu uczelnianych społeczności. Nawet w czasach tzw. komuny pojawiały się na uczelniach takie osoby, które

miały inne poglądy niż sprawujący polityczną władzę i – co nie mniej istotne – nie brakowało im odwagi, aby je otwarcie głosić. W rządowych mediach nazywano ich „warchołami”, natomiast w bardziej niezależnych od władzy środkach przekazu „dysydentami”. Najistotniejsze jednak było nie ich nazywanie, lecz wręczanie – przynajmniej najbardziej aktywnym spośród nich – tzw. wilczego biletu, oznaczającego z reguły: „fora ze dwora” (jeśli tak można nazwać usuwanie ich z uczelni lub z kraju). Było ich jednak stosunkowo niewielu. Wielu natomiast wołało wówczas milczeć, a przynajmniej nie demonstrować zbyt otwarcie swoich zastrzeżeń do polityki i polityków. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna. Nie tylko bowiem społeczność uczelniana często i otwarcie wypowiada się o polityce i politykach, ale także zgłasza do nich niejednokrotnie zasadnicze zastrzeżenia. Stanowi to jednak nie tylko świadectwo akademickiej wolności, ale także wklania życia tej społeczności w politykę. Mam jednak nadzieję, że znajdujący się u władzy politycy nie podejmą w tym zakresie jakichś działań „naprawczych”.

Ostatnia z tych ogólniejszych uwag dotyczy uczenia się na błędach z przeszłości. Wprawdzie trudno byłoby zaprzeczyć, że historia może być jakąś nauczycielką życia i współżycia z innymi, jednak po pierwsze, trzeba chcieć, a po drugie, trzeba potrafić się z niej czegoś nauczyć. Jednym oczywiście przychodzi to łatwiej, innym trudniej, a jeszcze inni mają przy odrabianiu tej lekcji takie trudności, że raczej nie powinni przejść do wyższej klasy. Jednak przechodzą – nie dlatego, że w końcu uporali się z tymi trudnościami, lecz dlatego, że znaleźli poparcie tych, którzy wzięli za dobrą monetę składane przez nich w wyborach obietnice dużo lepszego życia. Nie chciałbym tutaj jednak rozwijać tego wątku, bowiem mogłoby się okazać, że nie mówię już o upolitycznianiu wyższych uczelni, lecz o samych politykach i samej polityce.

Politicizing the universities

In the first part of these remarks I recall such examples from the past of the mentioned political agenda that might be a sort of warning for a too far reaching overtaking of higher education institutions by political powers. In the second part, however, I recall contemporary ways and forms of political agenda, which I call “velvet” revolutions and I also see them as threat to fulfill by universities their social missions. The remarks and evaluations formulated by me at the end are certainly not to be considered. These remarks are being treated by me as a voice in the discussion on the issue how much politics might be or has to be in the life of universities, what kind of politics do any good to them and what kind brings more damage.

Key words: politicizing the universities, historical *casuses*, “velvet” revolutions

